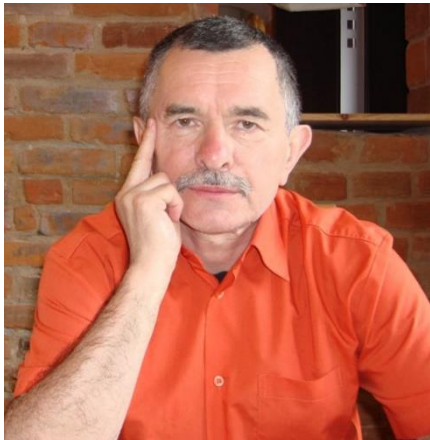


Józef Baran

## Spadając, patrzeć w gwiazdy (69)

(fragmenty)



### Krakowski styl

Do „wieczoru wspomnień” poświęconego Wisławie Szymborskiej i nagranych dla miesięcznego Internetowego Magazynu Kulturalnego, prowadzonego przeze mnie już prawie dwa lata w witrynie „Poezja polska”, zaprosiłem zaprzyjaźnione z nią osoby: łubianą i cenioną w Krakowie poetkę Elę Zechenter-Spawinią (przyniosła listy, wyklejanki oraz... anegdoty) i wybitnego tłumacza, poliglotę Irka Kanię. Jego znajomość czynna – kilkunastu języków i bierna – prawie dwudziestu, w tym – sanskrytu, chińskiego, tybetańskiego czy hebrajskiego, musiała niebywale imponować Poetce, bo – jak sama mi to kiedyś powiedziała, a ja przyznałem się jej do podobnego kompleksu – językami obcymi biegle nie włada; jedynie trochę francuskim. Podczas wieczoru wspomnień Kania mówił o wspomniałym odbiorze poezji Wisławy we Włoszech, Hiszpanii i Szwecji oraz o trudnościach z tłumaczeniami jej finezyjnych perełek słownych nie tylko w Chinach czy Japonii, lecz także w Niemczech (nie pomógł Dedicus), a przede wszystkim w Stanach (nie pomógł Barańczak, który na przykład nazwę „tłuk miazdzeniowy” oddał poprzez nowocześniejszą „prasę hydrauliczną”!). Dlaczego w Stanach? Nie tylko dlatego, iż amerykańska angielszczyzna jest spraktyczowana i uproszczona, ale i dlatego, iż nie ma ona tak długiej tradycji literackiej jak polszczyzna.

Kania na koniec wspominek zacytował j eden z żartobliwych wierszyków–wyglupów „Wiselki” stworzonych na poczekaniu, w którejś z krakowskich restauracji:

*Kelner łysy,  
Łysy boss,  
Więc dlaczego –  
W zupie włos?*

Filmowy seans spirytystyczny mający wywołać ciało i ducha Poetki był w sumie bardzo

udany więc nie chciałem do beczki miodu dodawać łyżki dziegciu...

Jednak uczynię to teraz, żeby nie wszystko było tak cacy... Otóż mnie stylizacja krakowsko-uniweryytecki kulturowany przez otoczenie Noblistki nie odpowiadał. Może jestem prostacki, może nie dorastam, w każdym razie owi obowiązkowe pisanie limeryków na kolacyjkach u Wielkiej Poetki ani mnie śmieszyło, ani zachwycało. Raczej zalaływało ławizną.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, „co wolno geniuszowi”, czyli Pierwszej Damie Poezji Polskiej, dla której słowne igrce stawały się jakby poligonem doświadczalnym dla jej późniejszych wspaniałych wierszy żartobliwe–filozoficznych, tworzonych w samotności, podobnie jak dla Gombrowicza – strojenie min przed lustrem było przygotowaniem do właściwej twórczości pisarskiej... próbami przed premierą...

Niemniej, naśladownictwo Mistrzynie przeradzało się po czasie w jakąś elitarną zabawę–manierę pozbawioną chyba jednak krytycyzmu, skoro konsekwencją tego były nawet książki w twardej oprawie, zawierające limeryki pisane przez dwór kopiujący Królową.

Toteż mimo iż Wisława Szymborska lubiła moje wiersze, o czym zapewniła mnie już w latach 70., to instynktownie, jakby obawiając się, że będę się czuł nieswojo w towarzystwie jej krakowskich adoratorów, a może czując respekt przed Poetką (ale chyba jednak nie, bo przy naszych sporadycznych spotkaniach rozmawiała nam się zawsze fajnie, lekko, z przywruczeniem oka) – nie poczyniłem starań, by znaleźć się w gronie znajomych skądinąd podziwianej przez mnie Poetki, o której pisałem kiedyś pracę wieńczącą moje studia polonistyczne na Studium Nauczycielskim w Krakowie w 1968 roku...

...W latach 90. umawialiśmy się co prawda w Krakowie na wspólne pójście w góry, bo i ja, i ona bywaliśmy we wrześniu w zakopiańskiej „Halamie”. „Niestety” zaraz potem otrzymała Nagrodę Nobla i była oblegana przez wszystkich, więc nie próbowałem być jednym z natrętów i wyegzekwować obietnicy.

W 2005 roku przepiliśmy piwem brudzia na obiedzie po wspólnym występie w salonie poezji Anny Dymnej w Teatrze Słowackiego.

Potem już tylko wysyłałem jej książki, a ona pozdrawiała mnie przez krakowską sąsiadkę, która w wakacje mieszkała w swoim letnim domku tuż obok mojego...

### U fryzjerki

Pierwsze oznaki wiosny, więc poprosiłem panią fryzjerkę, by mnie odmłodziła o 10 lat, bo „a nuż mi się to przyda?”...

Po ścięciu włosów pytam:

- No to teraz ile mi Pani daje latek?
- Szczерze?
- Szczерze.
- Jak szczерze, to... 52...
- ?
- Za dużo...

– Pomyliła się pani tylko o rok. Mam 51 – mówię zadowolony z siebie, bo w rzeczywistości zostałem przez nią odmłodzony o 13.

Potem biorę czapę uszatkę (bo wieje), płaszcz z wieszaka, kijki i wyruszam stałą trasą nad rzeczką zwaną Sudołem...

W domu dostaję telefon:

- Pan Józef Baran?
- Tak, to ja, a o co chodzi?
- Miał pan czarną torbę?
- Miałem.

– Został ją pan razem z dokumentami i kartą kredytową.

– Nie pierwszy raz – mruczę pod nosem, a na głos dziękuję uczciwej szefowej salonu fryzjerskiego i umawiam się, że przyjdę po torbę za godzinę.

W duchu zaś myślę sobie: – Cholera. Cholera. Jednak Natury nie da się oszukać. Jednak ciągnie się za mną już 65-letnia smuga cienia zabarwiona sklerozą...

\*\*\*

Myśl Beatki Paluch – aktorki Teatru Starego i piosenkarki – w aucie, w drodze do Krakowa z naszego spotkania autorskiego na zamku w Bielsku-Białej: – Niektórzy moi koledzy żyją naprawdę dopiero na scenie. W swoim prawdziwym życiu istnieją na niby i wydają się własnymi cieniami. Snują się jak manekiny bez celu, jakby z nich uszło powietrze. Dopiero gdy wskakują na scenę – o!, to wtedy jakby ich ktoś nadmuchał... Zmarłych wstają i żyją naprawdę, choć w cudzych rolach.

### Pogrzeb Stasi Kopiec

Pogrzeb Stasi Kopiec w Lubeni na Pogórzu Dynowskim (województwo podkarpackie), poetki z prawdziwego zdarzenia, a nie tylko – jak to bywa z większością autorów wierszy – układaczki słów. Jej życie pozostawało w ścisłym związku z pisaniem i za to ją ceniłem. Wybraliśmy się na tę smutną uroczystość autem z Marysią Jentys-Borelowską i jej mężem Marcinem.

Kiedyś Sławomir Mrozek napisał mi w liście: „Niechętnie myślę o stawianiu stopni, przyznawaniu poetom jak sportowcom: pierwszy, drugi, trzeci itd. Czy dąb jest lepszy od jarzębiny, czy wróbel jest lepszy ptak od sroki? Albo coś jest, albo nie ma, a klasyfikowanie (oczywiście tylko w obrębie tego, co jest, bo jak nie ma itd.) potem mnie nie obchodzi. Najważniejsze, że jesteś – sam w sobie. O sobie myślę podobnie: jestem i to już bardzo dobrze, a czy jestem »wielkim« pisarzem czy »małym«, o tym słyszeć nie lubię”.

Stasia Kopiec była sobą, czego nie można powiedzieć o setkach poetów mówiących nie swoim głosem. Jej głos był naturalny. Przy pisaniu karmiła się tym, co było jej najbliższe, co miała pod ręką, z tego czyniła poetycki użytek. Była jako poetka może szarym, ale nie wypchanym wróbelkiem, nikogo nie naśladowała, nikogo nie podrabiała.

cdn.